Rok III 20 września 1931 Nr. 38

DZWONECZEK

„Albo aniołki, albo djabełki“



Niema prawie chłopca, który choć raz w życiu nie chciałby być ministrantem czyli służyć do mszy św. O ten zaszczyt ubiegali się niejednokrotnie i wielcy i znakomici ludzie, żeby przypomnieć naszego króla Sobieskiego. Ale wielu nie chce się wyuczyć łacińskich modlitw, inni zaś, podrósłszy, uważają godność ministranta za coś »dziecinnego« albo niegodnego, niemal ubliżającego godności — starszego gimnazjalisty i t. p.

Skąd to pochodzi? Otóż niewątpliwie z niezrozumienia godności ministranta, ale także i lekkomyślnego zachowywania się niektórych ministrantów.

Jeżeli chodzi o godność to trzeba pamiętać, że po kapłanie, odprawiającym mszę św., najwięcej łask z tej bezkrwawej ofiary spada na ministranta, więcej niż na innych uczestników mszy św. — I zaprawdę jest to najlepszy także sposób słuchania mszy św. i brania w niej czynnego udziału. Dlatego też dziś zaczyna się nawet szerzyć zwyczaj mszy św. recytowanej czyli wygłaszanej, w czasie niej uczestnicy wygłaszają wspólnie, głośno i po łacinie modlitwy, które odmawia kapłan, sprawiający najświętszą ofiarę.

A co do niegodnego sprawowania się ministrantów, to istotnie często widać w ich zachowaniu się lekkomyślność, nierozumienie, co to się dzieje na ołtarzu, nawet ordynarne i nieprzystojne sprawowanie się i niedziw, że sławny pisarz katolicki, Alban Stolz, wyraził się:

— Chłopcy, usługujący do Mszy św., to albo aniołki albo djabełki.

Aby więc ministranci nie zaniedbywali się, nie lekceważyli świętych czynności, ani nie służyli dla zarobku, ale doskonale rozumieli godność i posłannictwo ministranta i wyrabiali się na przyszłych działaczów w Akcji katolickiej, do tego służą związki czyli kółka ministrantów, o których pomówimy innym razem.

T. Stafiej.

34)

Na jednej ławie

Dalszą rozmowę przerwała im pani Sadowska, która weszła, trzymając w ręku słoik i kartkę papieru, a za nią Hania niosła jakąś paczkę.

— Masz tu, mój chłopczyku, maść i opis jej użycia, a tu trochę wiejskich smakołyków, które nam ze wsi przysłano, daj twej babce.

— Dziękuję pani — ukłonił się Franek grzecznie i spojrzał na nią z wdzięcznością, choć nieśmiało.

— Do widzenia jutro w szkole — rzekł, odprowadzając go aż do bramki ogrodowej, Karolek.

— Bądź zdrów i dziękuję ci raz jeszcze — rzekł poważnie Franek.

W domu zastał matkę, która jakoś dziwnie dziś o dzieci niespokojna, wyrwała się na godzinkę ze szpitala zobaczyć, co się w domu dzieje. Opatrzyła Zosi nogę i kazała jej się rozebrać i położyć całkiem do łóżka i zmartwiona, „że to jakoś coraz gorzej idzie bez niej", siedziała przy niej i patrzyła ze ściśniętem sercem na zmęczoną i zbolałą twarzyczkę Zosi. „Mój Boże, ona temu wszystkiemu nie podoła i zmarnuje się" myślała z żalem.

Franek oddawszy matce maść i paczkę, począł sam przygotowywać wodę na herbatę; prowianty zdały się w sam raz, bo prócz chleba, nic w domu nie było. Doskonałe wiejskie wędliny smakowały nadzwyczajnie wszystkim; matka uważała, że Franek jakiś bardzo poważny i jakby skruszonem okiem patrzy na nią i na Zosię.

Gdy wychodziła, zawołał:

— „Ja mamę odprowadzę kawałeczek".

— Dobrze, synku — i ledwo wyszli, rzekła mu — mój Franusiu, pamiętaj trochę o Zosi, pomóż jej czasem, bo na nią za ciężko.

— Dobrze, mamusiu — przytulił się do niej — już ja będę dobry i będę się dobrze uczył. I pogodziłem się z Karolkiem dziś.

— To bardzo mnie cieszy, mój synku! Musimy razem wszyscy pracować i wspólnie sobie pomagać, wtedy będzie nam lżej i wy do czegoś dojdziecie, a ja będę miała starość spokojną.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Wieczorem samym już po wspólnym pacierzu, Karolek zbliżył się do matki z rozjaśnioną twarzą:

— Tak się cieszę, że się pogodziłem z Frankiem!

— I ja się cieszę, widzisz synku, że się twoja dobra wola na coś zdała. Ten chłopiec nie przepadnie może dzięki tobie, ta jego biedna matka i siostra pocieszą się i ulgi doznają w swym trudzie. Żebyś ty wiedział, jaka tam bieda.

— Więc niech mamusia co wymyśli, żeby im lepiej było.

— Już myślę nad tem, ale to tak trudno. Jałmużny nie przyjmą, zresztą nam ciężko czasem na wszystko wystarczyć tylko przy pensji tatusia i rozdzieleniu domu, dobrze, że nas wuj Staś ratuje prowiantami. Ale muszę wystarać się o jakie suchsze i lepsze mieszkanie dla nich i o jaką zapomogę dla dzieci, może mi się to uda.

— Z pewnością się uda, mamusiu!

Matka z uśmiechem pogłaskała synka po różowych policzkach. Była bardzo zadowoloną z niego. *(Dokończenie nastąpi).*

W jaki sposób nauczę się kochać?

Zapewne nieraz słyszeliście z ust starszych narzekania na dzisiejszą młodzież, na jej brak idealizmu, zepsucie i t. p. Wiele, niestety, jest w tem prawdy, ale w znacznej części winno temu społeczeństwo starsze, winien ogólny potop zła i zepsucia, który ogarnął cały świat po wojnie.

Nie myślimy usprawiedliwiać młodzieży i odbijać zarzutów jak piłkę w tennisie. To nie prowadzi do celu. Chcemy raczej zwrócić uwagę na to, z czem spotkać się musi młodzież w dzisiejszem wychowaniu.

Dużo mówi się o tem, aby dziecko mogło się swobodnie rozwijać, aby nie krępować jego »natury«, aby nie wpływać na nie przez nakazy i zakazy, ale dać mu radość i używanie, bo ono samo sobie da radę.

»Italia fara da se« (Włochy same potrafią) — mawiali patrjoci włoscy, a jednak odzyskali niepodległość głównie z pomocą obcą, bo Francji. Tak jest i w życiu dziecka. Jeżeli się je zostawi »naturze«, to nieuchronnie będzie wystawione na pewne wpływy, od których nikt nie ustrzeże: to wpływ otoczenia, książek, kina, ulicy, wreszcie i zaraz okazuje się, że ta — jak twierdzą niektórzy — »dobra sama z siebie natura« jakoś dziwnie się zepsuła, jak mięso na słońcu. W każdym katechizmie i każdej biblji znajdziesz na to odpowiedź, gdy przeczytasz o skutkach grzechu pierworodnego. I rzeczywiście inaczej tego nie można wytłumaczyć.

A zatem, w jakiż sposób można najlepiej wychować?

Przypomnijcie sobie powiastkę Waszej rówieśniczki: »Grymaśnica« (z nr. 37). Ta jedynaczka zawsze niezadowolona, mimo że otoczona wszelkiemi wygodami. Ona jest nieszczęśliwa, chora duchowo, ona ma suchoty duszy. A przypomnijcie sobie tę jej towarzyszkę — sierotkę, a może znacie też niejedną rodzinę, gdzie wiele dzieci, które od młodu spotkały się z trudami, niewygodami, które musiały nieraz się powściagnąć, nieraz się czegoś wyrzec. O ile tęższi to i lepsi pracownicy za młodu i jako dojrzali ludzie, niż te biedne, samotne jedynaczki i jedynaki. Co już ich tak ukształtowało? — Oto powściągliwość, wyrzeczenie, poświęcenie, często nawet — cierpienie.

A spróbujcie sami się przekonać. Po czem zachowacie lepszą pamięć, czystsze wspomnienie: po zabawie i przyjemności, czy po wyrzeczeniu się jej albo jakiegoś przysmaczka, aby sprawić radość drugiemu, aby otrzeć łzę sierocie lub biednemu koledze.

Zaiste nikt nie wymyśli lepszego sposobu na samowychowanie się człowieka, na wyrobienie tego, co nazywamy charakterem, jak tylko przez zaparcie się i umartwienie.

Dlaczego matka kocha tak bardzo swe dzieci? — Bo dla nich niejedno przecierpiała, więcej niż ojciec. Dlaczego kapłan, zakonnik czy zakonnica przywiązuje się do swego powołania i do miłości Jezusa? — Bo dla Niego wiele poświęca i wiele Mu ofiaruje i dla Niego cierpi.

A kiedy ty naprawde nauczysz się kochać naukę, cnotę, Boga, bliźnich? Gdy dla nich potrafisz zrobić ofiarkę z własnej chętki do próżniactwa, do lekkomyślności, do słuchania złych podszeptów szatana, gdy coś ze siebie lub swego złożysz na ofiarkę dla Jezusa i dla bliźnich.

Miłość karmi się poświęceniem i cierpieniem, ale płaci za to stokrotnie.

A. Piotrowska-Kotzmanowa.

Wicher

Ten wicher niecnota, —
niemało nabroił,
w dzień szalał i w nocy,
nim się uspokoił.

Z boru wpadł do wioski,
ze wsi znów do miasta, —
poprzewracał, co się dało,
powyrzucał het — i basta.

Tu strzechy stareńkie
potargał za brody,
tam wierzby spróchniałe
powrzucał do wody.

Tu ogień rozpalił,
tam znowu zagasił,
drzwiami się wpakował,
oknami wyprosił.

Jagusię malutką
przewrócił na drodze,
zdarł z głowy kapelusz
Wojtkowi niebodze.

Wronom go na drzewo
podrzucił przy lasku;
wrony się przelękły, —
narobiły wrzasku.

A wreszcie parasol
wziął z ręki biedocie,
w górę z nim poleciał —
niby w samolocie.

Po dachach kamienic,
po antenach latał,
razem z kominiarzem —
kominy wymiatał.

A kiedy się zabrał
do Marjackiej wieży,
strącił go aniołek
i nieżywy leży.

Ten wicher niecnota
nabroił niemało,
w dzień szalał i w nocy —
dobrze mu się stało.



Dwaj współpracownicy „Dzwoneczka“ przy nauce.
Batko przegląda kajety, a J. Krupa pisze zadanie.

Kącik rozrywkowy

Zagadki (z nr. 36 i podane tu zebrał Marjan Jagocha).

Szedł brat z siostrą a mąż z żoną, znaleźli cztery jabłka pod jabłonią. Każdy wziął po jednym, a jedno zostało. — Jak się to stało? (W nr. 36 podane było błędnie).

Co to jest zgadnijcie, przecież dobrze znana,
We dnie niepotrzebna, wieczorem lubiana,
Latem służy krótko, zato zimą długo,
Któżby z Was pogardził jej wielką przysługą?